Marya Wilska

Thème varié

Druk.

1901

D. mol.

Thème Varié

LWÓW, 1902.
KSIĘGARNIA POLSKA.

Egzemplarz mój – od Autora

Thème Varié.

D. mol.

THÈME VARIÉ.

Lwów — 1901.

4

Z Drukarni „Słowa Polskiego we Lwowie, pod zarz. Z. Hałacińskiego.

Szukam słów srebrnych i jasnych jak pył blasku od gwiazd bożych mżący...

Szukam słów nieuchwytnych jak woń — i jak błyskawice ciche, w ciemności gasnących...

Szukam ich, bo wiem, że tamtych, wymówić niewolno mi nigdy, ani wśród nocy głuchej, ani po dniu jasnym.

Słyszę je, lecące z brzękiem, jak rój pszczół srebrnych, jak mglisty majak, w przestrzeni zbłąkany, — ale są jeszcze wysoko.

O dźwięcząca mgławico myśli, które jak gwiazdy spadające, odrywają się od stropu duszy mojej i gasną — oświecać jej migotem swoim bladym — nie śmiejąc!

O błędny roju słów, które przytułku nie znajdą nigdy!

O srebrny roju słów!

THÈME VARIÉ

Uciekam przed tobą — a zewsząd widmo twej postaci wychodzi mi na przeciw.

Jesień, znowu jesień!

Zbudź się duszo moja! Idą dni twoje Zaduszne, idą senne, pełne cierpkiego zapachu umierających liści, w przedśmiertnej łunie ogrodów skąpane, co krasę swoją, ognistą krasę swojej młodości, deszczem złotych i krwawych stygmatów, na krzepnącą ziemię kładą...

Zbudź się i na sarkofagi pragnień swoich, na samobójcze mogiły swoich zastygłych myśli, rzuć, jak co roku, garść złotem szeleszczących nieśmiertelników, garść pieśni przesiąkłych płaczem i proś Boga duszo moja, aby te śpiące od lat myśli i pragnienia twoje, — nie wstały więcej.

Niechaj im światłość wiekuista wspomnienia tego świeci, co oto dziś znowu, na fali dzikich, jesiennych zapachów, przychodzi do ciebie! —

Światłość — i cisza. —

Jesień! Mgły się nad ziemią wleką, ciężkie, senne i światła w nich Zaduszne migocą... —

Oto i ja palę światło, własnej mojej duszy, przeczyste, drżące światło, we mgłach jesiennych rozpalam — i pamiętam...

Uciekam przed tobą a zewsząd widmo twej postaci wychodzi mi na przeciw...

*
* *

Stulistna róża mego serca, padła ci przed stopy i przeszedł po niej cień twój, — nie wiedząc, że dusza moja wyszła z niej właśnie ku tobie, — różanej woni pelna.

Stulistna róża mego serca, w pył i proch się rozpadnie, — ale woń, co się westchnieniem lotnem z kielicha jej podnosi, obłokiem wiecznego zapachu owiewa twoje czoło, — aby przez życie i wieczność — iść odtąd za tobą — za tobą...

I jeśli będzie w tobie cisza i jasność —

I jeśli będzie w tobie moc — a słodycz, z niej ci to przyjdzie, z tej woni!...

*
* *

W mgłach nadpolnych, korowody cieni jakichś się wleką i pieśń dziwna, z jęku jesiennego

wichru i szumu czerniejących lasów złożona, leci nad niemi.

Dźwięk jej mocny i śmiertelnie piękny, targa mi serce — i czuję, że długo jej słuchać nie zdołam.

Jakieś szepty lecą do mnie wskróś zwiędłych drzew, jakieś wołania... Nie odwracam głowy za niemi, wiem, że nie ty powracasz, nie ty mnie wołasz, jeno zima idzie długa — a ciężka.

*

O ty głosie rozwiany w mrokach przeszłości, ty smutny głosie, coś mi dźwięczał na nutę kochania i wiosny! Gdzie jesteś?! Nie do mnie ty wrócisz, nie mnie zawołasz, — jeno zima przyjdzie długa — a ciężka!

Uciekam przed tobą — a jednak wracać znów muszę i wiem, że nad tę twoją smutną, zmęczoną twarz, nic milszego nie ma dla mnie na świecie!

Nad te twoje oczy, jak od blasku wielkiego zmrużone, nad te twoje usta, które nigdy, — nigdy...

Jest bowiem w twojej urodzie, jakiś słodki powab jesieni naszej, jakieś zadumanie naszych łąk...

Jest na twoich włosach, słoneczny połysk naszych zżętych pól, pajęczyną srebrną osnutych...

I jest w twojej duszy, cały wielki, pierworodny smutek naszej ziemi, cała jej ogromna, tragiczna piękność — i ból.

Więc patrzę na ciebie, jak na jakiś kwiat boży, co oto przed oczyma memi okwita i wiem, że prócz mnie, — nikt tak nie patrzy na ciebie i jest mi gorżko i jasno zarazem.

To, co w tobie najgłębsze i najpiękniejsze, co w tobie naprawdę boże i wielkie, to nie światu, jeno duszy mojej świeci, nie ludziom, jeno tej jednej duszy ludzkiej, co oto bezwolna, jak cień urokiem zaklęty, wdzięczny i wierny, w świat myśli idzie za tobą...

*

Słyszę już jej kroki szybkie, chrzęst wrzosów deptanych jej stopą i jęk umierających kwiatów słyszę, przeciągły, — rozpaczny... Czuję, że jest już blisko...

Oddech jej mroźny, co z wichrem leci, motyle zabija ostatnie, na mchy z powietrza je strąca i ciche, do zwiędłych ziół podobne, na zmartwiałą ziemię rzuca. Za chwilę będzie już przed progiem...

*
* *

O maro, maro młodości mojej! To ty, zawsze ty!... Patrzę w przeszłość, na twarz twoją i płacz jakiś głuchy, wstrząsać poczyna moją piersią...

„Twój czar nademną trwa...“

Wyczerpują mi się słowa własne, jak kwiaty rzucane na falę i jak fala kwiaty, tak mi te słowa moje, echo z powrotem odnosi — niesłuchane, jak kwiaty, z fali przez ciebie nie zdjęte...

O cieniu ty marny, nieodpłakany cieniu!...

PRELUD

Nie mówiliśmy nigdy o tem, ale ty wiesz o wszystkiem...

Wszak wiesz, że ci się dusza moja w proch przed stopy rzuca, z jękiem w niebo lecącej pieśni, której nikt nie rozumie, ani slucha, — prócz ciebie...

Jak wieczną lampę przed obrazem, tak rozpala serce moje, ten rubinowy płomień chmurnej pamięci mojej, przed widmem twej postaci...

Płonie i drży to krwawe światło i rzuca się czerwienią refleksów na blade kwiaty, rosnące w ciszy jesiennych wieczorów, gwiaździste kwiaty astrów — pieśni...

Niema cię może wcale na świecie, ale są moje pieśni o tobie.

Nie zjawisz mi się nigdy, ale ja czekam na ciébie, jak na pewną i niezawodną — Śmierć...

Nie wiesz o mnie — a nieopuszczasz mnie jednak i czuję zapach jesiennych fiołków, wlokący

się za tobą jak welon i woń ta wiąże mnie z życiem.

Nigdy wiosenne fiołki nie pachną tak mocno, tak boleśnie, jak te październikowe, — ostatnie.

*

Nie wiem czy jesteś dźwiękiem, czy zapachem, czy duszą ludzką, — dość, że jesteś czemś na wskróś czystem i dalekiem, czego nikt nie posiada dotąd, ani ja nawet, — choć ja tylko wiem o tobie i — czekam cię.

Głos twój, czy westchnienie, słyszę w chrzęście zwiędłych liści i boję się stąpać po nich...

Zdają mi się być czemś żyjącem, jakimś znakiem pamięci, obecności — twojej...

Te złote, uschłe liście, to słowa, których nigdy usta twoje nie wyrzekły do mnie a które mam usłyszeć kiedyś, — później.

*
* *

O serce moje! Ty chmurne serce, co kwitniesz jak blada orchidea w powietrznych krajach swych marzeń! Tak samo jak one, żywisz się wi-

dokiem ziemi, której nie tykasz i kwitniesz, soków z niej w liście nie biorąc...

Wiem, że Bóg myślał o tobie, kiedy mnie stwarzał, wiem, że cię gdzieś nazwał nawet. Imię to drga ognistemi głoskami w mojem sercu — a gdzieś, ktoś, — wymawia z łatwością to imię, którego ja, — przypomnieć sobie nie śmiem.

*
* *

O lilie, białe lilie wodne, jakżeście wy do marzeń moich podobne!

Stopy wasze jak moje, więzną w innym świecie od tego, w który dążą myśli moje kwiaty wasze!

Muzyka fal, jest dla was muzyką wspomnień moich, co was na cichą, chłodną śmierć kołysze, a mnie śpiewa jakąś posępną balladę, pełną księżycowego blasku i zapachu fiołków.

*

Niema cię, czy jesteś, — to dla mnie jedno!

Przeczuwam cię i żyję tobą, — to mi wystarcza...

Przeczucie wieczności rozjaśnia nademną skrzydła swoje błękitne i sypie mi gwiazdy w duszę.

Ja ich nie podnoszę. Wiem, że kiedyś, później, będę ich mieć więcej niż kwietnego pyłu na skabiozach górskiej łąki i wszystkie te gwiazdy lecące do mnie, — tobie przekazuję...

Gdyby cień twój był rzeczywistością, życie moje szłoby inaczej. Jesteś jednak niczem, snem, marą, zapachem, dźwiękiem, tem, czego ująć nie można, ani swojem nazwać i dla tego sypie się na mnie popiół idących lat i przysypie mnie wreszcie — zupełnie.

Nad mogiłą popiołu stanie kiedyś myśl twoja i szepnie ci:

Szkoda!

Z KOLĘDĄ

Tam daleko, — świeci słońce i wielkie kwiaty kwitną.

Tam daleko, — szafirowe jezioro leży u twoich stóp i nigdy nie więdnące bluszcze do okien ci patrzą...

I pachną róże...

A tu — śnieg pada i ściele się na pola, jak biały, srebrem tkany obrus, świat do mistycznej jakiejś Wigilii sposobiąc...

A tu śnieg pada i gwiaździstym swoim puchem zasnuwa świerki i krzepnie.

Czy przyjdziesz ty, na Gody o duszo?

*

Nizki jasny pokój, pełen zapachu sośniny i jabłek. Zielone drzewko w migocie świeczek stojące i kolęda dziecinnych głosów...

*

O gdyby tak można, gdyby można, ujrzeć cię tu nagle, na tle migocącej choiny! Gdyby cię można w ten wieczór tajemniczy, cudowny, ujrzeć na chwilę i płakać potem długo, po ciemku, — po cichu, — na zabój! —

*
* *

Noc mroźna grudniowa, pełna mgieł iskrzących w powietrzu... Na niebie czystem księżyc...

Szeroka, biała droga pośród lasu.

Olbrzymie świerki stoją w zawałach śniegu, jakiejś drużynie posągów białych podobne, z ramiony pod ciężarem puszystych błamów zwisłemi, niby rzeźby pierwotne jakichś bożyszcz dawnych, w czarach tej srebrnej nocy wstające.

Stoją tajemnicze, w lodowatych gronostajach śniegu, w brylantach koron swoich zakrzepłe, — ogromne...

*

Droga iskrami mroźnych pyłów zawiana, w świat za oczy gdzieś wiedzie.

Droga, którą nigdy nie szłaś do mnie.

Droga, którą nigdy nie przyjdziesz — o duszo!

*

A na niebie, przyćmiona błękitną łuną księżyca iskrzy się gwiazda biała, igłami promyków świecąca, — ta sama, co wtedy dawno, — ta sama...

Za promieniem tej gwiazdy królewskiej, wstęgą drogi białej i lśniącej, w nawę zamarzłego lasu, — szczęściu memu, wychodzę oto na przeciw!

*

Cisza, — czasem tylko pryśnie coś nagle, jak iskra na śniegu gasnąca, czasem zachrzęści coś z cicha, — jakby się te drzewa leśne, w powadze uroczystej nocy stojące, białym opłatkiem między sobą łamały...

*

Prędzej mi na tym śnieżnym całunie, zlota paproć najkrótszej nocy zakwitnie, prędzej ta gwiazda mistyczna, ogromnym brylantem przed stopy moje upadnie, — prędzej się księżyc, ludzką, miłościwą uśmiechnie do mnie twarzą, niż ty mi się spełnisz, — o bajko!

Bajka, wszystko bajka...

A las stoi cichy, zasłuchany w zaświatowe jakieś kolędy i tylko się pyły mroźne palą na

śniegach, — tylko księżyc płynie po niebie jasny, biały, do Hostyi tajemniczej podobny...

*

A jednak płacze mi dusza na głos, a jednak za tym najbielszym snem mego życia, ręce wyciągam i wołam go i czekam, — daremnie! —

Bo jednak nie wszystko jest bajką...

A noc taka kryształowa, taka jasna, że mogłyby się dziać cuda tej nocy!

W takie wielkie święto, jakieś wielkie szczęście... Szczęście czyste jak te śniegi i jak te szrony chłodne, krótkie, smutne szczęście przelotnej godziny, takiej godziny, którą się żyje lata całe, z której się czerpie siłę i blask i lot — i ukojenie...

Wielkie, opłakane, beznadziejne szczęście!

*

A nad ziemią jest noc błękitna, po domach jarzą się blaskiem choiny, nizkie sufity dworów drżą echem kolęd a ściany chat najlichszych rozszerzać się zdają weselem.

*
*   *

Tą białą, gronostajem śniegów wysłaną drogą, przyjść możesz do mnie tej nocy...

Każdej godziny się zjawić — a z tobą całe rozśpiewane niebo, otworzyć mi się może na ścieżaj!

Każdej godziny — a z tobą cała moc duszy mojej, cała jej treść przedwieczna!

A więc cię wzywam, całą tą mocą, całym wysiłkiem myśli, całą tęsknotą niewybuchniętych płaczów!

A więc cię wzywam, ogromnym akordem zamilczanych pieśni, srebrną melancholią mroźnej, grudniowej nocy i grzechem słów tych cię wzywam!

— Przybywaj!

I poleciał dźwięk mojej myśli, drąc się na skamieniałych koronkach szronu, na stalaktytach lodu się łamiąc, w kryształową otchłań przestrzeni — i przepadł gdzieś, — o gwiazdy boże rozbity.

*

O takiej godzinie niegdyś, — śpiewał chór śpiewaków niebieskich, słodką zaświatową kolędę,

O takiej godzinie teraz, wielka cisza na niebie, wielki chłód i pustka; tylko zmęczone myśli ludzkie, obłąkanym nietoperzom podobne, ranią sobie skrzydła — o gwiazdy...

O nocy tajemnicza, o milcząca nocy!...

RONDO CAPRICCIOSO.

Z trzepotem złotych skrzydeł, usiadła na pniu zwalonej burzą jodły, którą pleśnie blade powlokły, siecią oplątały ożyny i paproć jasnopióra obrosła.

Cicha, wonna noc majowa.

Z za drzew, prześwieca księżyc duży, jakby o cienkie szpilki sosnowych gałązek zaczepiony i jasną swoją, pogodną twarz zwraca ku niej i patrzy na nią, taką śliczną i rozbawioną, nie świadomą, że to jego spojrzenie właśnie, nieci światełka na pyle barwnych jej skrzydeł i w oczach mieniące iskierki rozpala.

Ach! jaka ty jesteś śliczna, ty leśna, konwalią pachnąca duszyczko! Patrzę w twoją twarz drobną i białą, w pustoty pełen uśmiech i napatrzeć ci się nie mogę!

Tańczmy dalej!

Kwitnące konwalie dzwonią z lekka, majo-

wa ruń polany, miękkim kobiercem pod stopki się twoje ściele, serce moje takt poda muzyce...

Daj mi rękę, ty śliczna, ty lotna, ty wonna!

* * *

Nie chcesz?... Czemu twarz twoja zbladła nagle, jak płatek śnieżnej czeremchy?... Nie bój się mnie... To tylko fantazya moja tańczy z tobą w tę jasną, majową noc! Oddech mój nie owionie kwiatowej twojej twarzy, ani cię muśnie dłoń moja gorąca... Wierz mi! To tylko myśl moja idzie w ślad bosych twoich stopek... Nie bój się!

Nie chcesz?...

* * *

To on!... Widzę go. To król elfów...

Tak. On jest piękniejszy od mojej fantazyi nawet. Ten blady, smutny, król duchów leśnych, w którego twarzy toną oczy twoje, ciemne, urzeczone, do stawów tatrzańskich podobne.

Jest piękny jak bajka, jak pieśń, jak ta noc majowa, księżycem pełnym srebrna.

I czemże jest wyobraźnia moja, w obec tej jasnej, zjawiskowej postaci? Czemże głos ludzki, w obec tej pieśni, co oto jak potok dźwiękiem wezbrany, powietrzem płynąć poczyna?... Czarodziejska pieśń elfowa!

O lesie zaklęty, o nocy zapachem duszna, upajaj mnie i urzekaj, swym czarem!

*

Król elfów gra,

Płynie pieśń elfowa, płynie jak westchnienia uśpionych na łąkach kwiatów, sypie się słowiczem łkaniem na rosę nocną, otwiera stulone kielichy leśnych dzwonków i napełnia je dźwiękiem swoim, jak miodem...

Płynie pieśń elfowa, cicha zrazu i nieuchwytna, aż nagle, — grzmotem potężnych tonów wybucha... Słychać w niej wycie jesiennego wichru, jęk burzą walonych dębów, plusk deszczu siekącego powierzchnię stawu, krzyk ginących od pioruna orląt, słychać w tej pieśni...

Cały las trzęsie się od niej. Ptactwo budzi się na gniazdach, na zamku zaklęta, przez sen — uśmiecha się królewna, a dusza moja drży i omdlewa, od ogromu piękna, które ją przenika...

*

Król elfów, jasną swą glowę, o biały pień brzozy opiera, do ust zaklętą fujarkę podnosi — i gra.

Płynie pieśń elfowa. Jak płatki róży sypią się jej tony słodkie a mocne, miękkie a groźne zarazem, sypią się w serce twoje, ty wonna, leśna duszyczko, aby ci je z piersi, tańcem jeszcze i pustotą drżącej, — zabrać na zawsze!

Płynie pieśń elfowa i mówi ci o tem, czego niema na ziemi ni w świecie, szepce o tem, czego nigdy nie dosięgniesz w życiu, w twojem marnem, konwaliowem życiu, czego z duszy swej wątłej nie wydrzesz, o czem nigdy zapomnieć nie zdołasz — a mówi tak cudnie!...

*

Leśne dzwonki chylą kielichy, łez czy rosy pełne, a z pieśni, co zgasła w powietrzu, dech jakiejś tęsknoty ogromnej, wionął po lesie...

Podnosisz oczy ku mnie, ty smutna już odtąd i urzeczona i wiem już, że nigdy więcej, fantazya moja nie pójdzie tańczyć z tobą, w taką ciepłą, majową, księżycem wysrebrzoną noc!

Zasłuchasz się na śmierć w echa elfowej pieśni i żyć niemi będziesz zadumana, nadludzkiem jej pięknem zaklęta i darmo świecić będzie księżyc na pył złotych twoich skrzydeł, daremnie siostry wołać cię będą do tańca!

Twoja dusza poszła już w przestwór bezbrzeżny, za tą pieśnią królewską i szukać jej odtąd będzie w śpiewie ptaków leśnych, w chrzęście szuwarów rozchwianych nad topielą, w łopotach orlich piór, w grzmocie piorunu lecącego wśród turni — a co nie będzie jej echem, niczem będzie dla ciebie...

O duszo skrzydlata! O pieśni elfowa!...

W SWIĘTOJAŃSKĄ NOC.

Dziś, dziś się dowiem...
W głuchą, czarną noc letnią, powie mi las czy to prawda,
W głuchą zaczarowaną noc, kiedy z zapartym oddechem stoją drzewa,
W zaczarowaną, krótką noc, przez którą niebo z pożogi słonecznej nie stygnie,
W jedyną noc, kiedy echo śpi.
Oprócz mnie, nie usłyszy nikt, — nikt. —
Pójdę,
Tędy łąką. .

Nie widzę nic, ale ja wiem, że to tędy...
W chłodną czarną próżnię, wyciągam ręce przed siebie, ku tej nieznanej jeszcze prawdzie je wyciągam, ku tej prawdzie, którą mam usłyszeć tej nocy i w sobie zawrzeć na zawsze a której oprócz mnie, nie usłyszy nikt, nikt.

*

Cisza. Wszystko czeka na coś, wszystko słucha, nawet kwiaty nie pachną, boją się oddychać...

Ciemno, ale ja wiem, że to tędy.

Znam przecie tę ścieżkę wązką, wskróś pól biegnącą i czuję rosę lecącą mi z kłosów na ręce.

A teraz równia, otwarte pola i szeroki oddech przestrzeni...

Zboża zostały już po za mną.

* * *

Co to?!... Ktoś, gdzieś... Organy? Wyraźnie organy. Tak. Wiem już.

Raz dawno, — zapadł się kościół. To tu. Woła, w głębię, pod ziemię...

Cicho, cicho, zejdę, — ale nie teraz, aż z lasu wrócę, aż się dowiem...

Zapadły kościół.

Różyce barwnych okien i promień słońca przestrzelony przez kolorowe szkła. Powiędłe, chorągwiane płachty, drgające kryształy pająków, srebrna lampa i czerwony lotus wiecznego płomienia w tej lampie...

— Ołtarz, przed którym dawano raz ślub...

Zapadło się wszystko. Zapadło się tak nagle że promień słoneczny nie zdążył uciec, tylko jak

strzała złota złamany, zapadł się razem i świeci tam, gdzieś, w głębi...

Tędy łąką...

Czuję wrzosy gnące mi się pod stopą i woń lasu mnie ogarnia żywiczna.

Łuna spalonych przed wiekami ognisk kupalnej nocy, wisi na niebie i czuję w piersi żar przed wiekami pogasłych ogni...

Świąteczny zapach piołunu i ruty, kadzidłowy zapach dziewanny i mięty, dymna woń obrzędowych ziół, dusi mnie za gardło...

Obłędna, krótka noc,

Świętojańska noc,

Dziś, dziś...

Noc, przepalona skwarną pożogą płomiennych upojeń,

Noc, przepojona duszną wonią odwiecznych pragnień, odwiecznych i wieczno trwałych pożądań, które się ostały w powietrzu, choć proch nie ostał się z tych, którzy dyszeli niemi — ongiś...

Noc, w którą na płaskie głazy uroczyska, schodzą się stare bogi i radzą,

Noc, w którą wolno rzucać w przestrzeń czarną, słowa jak łzy gorżkie i jak łzy palące,

Słowa szalone, które usta do krwi ranią i na przepadle lecą,

Słowa bolesne a słodkie, jak ostatnie zapachy jesieni,

Słowa pełne zadławionych jęków, które tylko ta noc czarna rozumie...

Noc zatajona w sobie, niema, nadsłuchująca,
Obłędna, krótka noc,
Dziś, dziś...

*

Dziś, ze zgliszcz kupalnych ogni, wstać może pieśń wielka, porwać się może od ziemi, niezaczęta, nieskończona, niewyśpiewana pieśń!...

Duchy ludzkie z ust do ust, podają sobie słowa jej nieśmiertelnej treści, słowa pieśni przedwiecznej, przez zawieruchę pędzących stuleci, z cichym deszczem konających godzin lecącej, pieśni, co nie zaczęta i nieskończona, gdzieś w głębiach wszechświata, o słońca nieznane, bije skrzydłami nieobjętej bezkresnej tęsknoty...

O pieśni ogromna, niewyśpiewana pieśni...

*

Patrzę w głąb lasu. Stoi niemy i martwy.

Patrzę weń, jak w czarną nawę zapadłego kościoła i chwyta mnie lęk...

Wejść, — trzeba wejść...

A jeśli ten las będzie milczał, jeśli mi nie odpowie, jeśli zatai w sobie to, co wiedzieć pragnę?

A jeśli ten las będzie mówił, jeśli mi tę pieśń duchów ogromną objawi, jeśli się jej dźwiękiem spiżowym, rozkołysze nademną, jeśli mi oczy blaskiem jej treści porazi?!... Czy znajdę w sobie dość mocy by słuchać?!

W dziwnym, niby z pod ziemi bijącym brzasku, smukłe pnie sosen stoją jeden przy drugim, niby zwarte flety organu...

O nocy Świętojańska,
Obłędna, krótka nocy,
Mów, czy to prawda?!

*
*   *

Dziś, — dziś, powiedział mi las, że —
nieprawda...

W głuchą, zaczarowaną noc, kiedy z zapartym oddechem stoją drzewa, przeleciała nademną ta pieśń czekana, jak stado ptaków ogromnych, zaszumiała mi nad głową, ptaków, których

każde skrzydło jest napiętą i na wichrze grającą harfą..

Przeleciała nademną ta pieśń, jak światło szybka, jak światło niepochwycona, nieujęta, przebrzmiała...

Ogromna, nieśmiertelna pieśń!...

W zaczarowaną, krótką noc, przez którą niebo z pożogi słonecznej nie stygnie,
W jedyną noc, kiedy echo spi,
Oprócz mnie, nie słyszał nikt, — nikt...

Wrócę,
Tędy łąką...

BALLADA.

Gorący, — długi pocałunek, kładę na twoich ustach!

Zbudź się królewno!

Są one chłodne, te usta twoje, jak ów głóg koralowy, jesienny i jak on purpurowe.

Rozchyl-że je uśmiechem!...

Co to?!... Spisz jeszcze?... Czy nie godzien jestem spłoszyć z ust twoich zaklęcia?

Na gobelinach głębokiego krzesła, jaśnieje twarz twoja biała, przędzą jasnych włosów opłynięta, słodka, senna twarz zaczarowanej królewny...

Ocknij-że się...

Spałaś już przecie dość długo, tyle zim i wiosen, a oto letnia teraz pora na świecie, zboża kwitną, bławatów pełne i powoju.

Wstań-że, już czas!

Wirydarz twój miast ziółek wonnych, dziki chwast zarasta, pająki na kołowrotku twoim przędą a świerszcz polny, z wnętrza luteńki się twojej odzywa...

Otwórz oczy, — niech mi zakwitną na białej twojej twarzy, do kwiatów lnu podobne, boć pewno niebieskie być muszą!...

Śliczne są, te twoje długie, cieniste rzęsy, ale je podnieś nareszcie i popatrz na mnie,

Senna królewno moja!

*

Posłuchać jeno zechciej a opowiem ci, przez takie ostępy, przebojem tu szedłem do ciebie, ile rwących strumieni rzucało mi się przed stopy, ile borów czarnych zachodziło mi drogę, przez jakie turnie skaliste piąć mi się było potrzeba, ile czarów pokonać, — zanim ów jaszczur złotołuski ogniem na mnie zionął u bramy!...

Wyjrzyj jeno okienkiem a zobaczysz go tam w dole, pod wieżą... Na purpurowej podścieli krwi własnej, w czerwcowem się tam słońcu rozciągnął, — tyle, że ciepła już jego nie czuje!

Widzisz mój miecz zbroczony? — dla ciebie to on, krwią gadu srogiego opłynął!

Królewno senna, zaczarowana królewno!...

*

Więc nie zbudzisz się? Nie otworzysz oczu

Czyżby sny twoje piękniejsze być mogły od życia!

Rozwieram okno na ścieżaj... o, jak skrzypią rdzą przeżarte zawiasy... Gdybyś jeno wyjrzała na świat, gdybyś raz rzuciła oczyma na tę dalekość błękitną, na ten przestwór słoneczny... Ile tam miejsca na szczęście!... Hej!... Czujesz zapach pola i macierzanki? Słyszysz fujarkę, gdzieś na łąkach dzwoniącą?

Słyszysz! o, przecie, jasne zadrżały ci rzęsy i budzisz się, — o przecie!

*

Wielkie, ciemne, zaczarowane oczy, patrzą na mnie w zdumieniu.

Z czcią należną królewnej, uginam przed tobą kolano i czoło kornie do stopek twoich dostojnych pochylam.

Jak dziecko małe i wylękłe, patrzeć poczynasz na mnie, jak sarna schwytana a bezbronna.

— Już dzień, — już dzień? — szepcą usta twoje, do głogów jesienych podobne, w bezgranicznem bezbrzeżnem, zdumieniu.

— Żalim noc całą przespała?! I ktoś ty jest rycerzu, w komnacie mojej?... Odpowiedz!

Żali ty wieści przynosisz mi, z pola?...

I z głębi miękkiego krzesła, w którem cię ów sen stuletni przychwycił, na poręczach jego wsparta, wychylasz się cała ku mnie, jak ciekawy rozkwitły nagle kwiat.

O kim wieści królewno?!

— Więc nie wiesz? Nic nie wiesz rycerzu?

Wiem jeno, żeś ty piękna jak lato, jak pieśń i żem ci serce moje, u stóp położyć gotów!...

*

A!? — ślubowałaś innemu... A tak! —

Pamięć — ? Pamięć tylko?! I czekasz przecie? Czekasz aż wojna minie?! Hej, ty nie wiesz, że się ta wojna skończyła dawno, przed wiekiem!

Czar padł na ciebie o wieczornym mroku ongiś, — przed lat całym różańcem a oto zbudzona teraz mniemasz, że to było wczoraj...

Nie wiesz, że ten, którego czekałaś tak długo, spi już sobie dawno, snem mocnym i zasłużonym, gdzieś — w głębi polnych kurhanów, lub w chłodnej krypcie świątyni; spi sobie twardo, z rękoma w krzyż na piersi złożonemi i nie przyjdzie, nie wróci już nigdy królewno!

— Żali ty prawdę mówisz rycerzu? Nie bajka-li, to nie złuda?

Jako się ta rzeka sina, wstecz biegu nie wróci, taka prawda słów moich, królewno!

— Krew jego, lekkiem kwieciem maków polnych, na pobojowisku dawnem zakwita, purpurowa, młodzieńcza krew, ojczyźnie na sławę przelana.

Ja wiem, że on zginąć musiał, inaczej byłby tu wichrem do twoich stóp przyleciał.

Wszakże miłować cię musiał, na umor!

Przeczysz?!...

O toć go nie czekaj! Nie czekaj już dłużej!

Rozejrzyj się lepiej do koła! Spojrzyj na krosna swoje. Cień haftu ostał się jeno na denku.

Z luteńki twojej, struny porwane owisły a świerszczyk polny, w jej wnętrze się schronił milczące. Ujmij ją tylko do ręki a poznasz, jako od gędźby wszelakiej odwykła.

Chcesz! — Oto jest! Ale pozwól mi wpierw, niech z niej pyły stuletnie opruszę, zanim palce się twoje jej dotkną. Strusiem piórem mego hełmu, cały złoty tuman, cały obłok pyłu wypędzam przez okno na pola... Niech leci! —

Spróbuj-że zagrać teraz a poznasz, jako wiekowych lutnia twoja doznawała wywczasów.

Weź-że ją, — tak!...

I milczą oto zbutwiałe struny pod twemi palcami, jak włókna bezdźwięczne i martwe.

Przez noc jedną, nie mogłyby przecie oniemieć!

Czy wierzysz już teraz?

Ale nic to! Założyć każę wnet nowe, czeladź moją zawołam i grajków...

Co ci to? — Płaczesz?! —

Wielkie, ciemne, zaczarowane oczy, patrzą na mnie z za łez, strachem rozszerzone i męką.

*

— Przecz-żeś mnie budził rycerzu, miast zabić?!

— Przecz-żeś mnie z martwych wołał, miast pogrześć?... Przecz-żeś się nie ulitował nademną?

*

Zaiste, poco ja ciebie zbudziłem królewno?

Hej, senna, zaczarowana królewno!...

MORENDO.

W błękitną grotę twojej duszy, jak łabędź dziś wpływam ginący, aby w niej pieśń moją ostatnią, przedśmiertną pieśń moją wyśpiewać.

Do stóp twoich, płynę oto aby umrzeć.

Do stóp twoich, na sinej fali nieukojonej niczem tęsknoty, pożegnać się z tobą na długo, z duchów i ludzi najbielszy!

*

Wszystkiem mi byłeś i niczem;

Słońcem mojem i nigdy niewypłakanym smutkiem mego życia,

Skrzydłami duszy mojej i beznadziejną otchłanią zwątpień,

Ukochaniem, jak Śmierć — jedynem!...

Przyjdź...

I wychodzisz mi na przeciw, z iskrami stalaktytów nad głową, z bolesnym uśmiechem na

ustach, z pękiem umarłych kwiatów w ręce, duch sen, widmo, potokiem światła oblane...

I jest w twoich oczach, cała baśń tęczowa, moich snów najcichszych.

I jest w twojej twarzy, cały złoty, niewyśniony sen mojego życia, cała legenda przeszłości mojej...

Ave!

* *

O duszo ty ludzka, ty jedna duszo, coś mi była i światem i młodością i umiłowaniem!...

Ty jedna duszo! Poza tobą niebyło już dla mnie widnokręgów. Przesłoniłaś mi wszystko, wielką światłością swoją!

*

W błękitną grotę twojej duszy, weszły ongiś myśli moje, w blaskach jej modrych się ocknęły i w wielkie, wonne kielichy pieśni się rozkwitły....

I zbudziły się w nich serca i dzwonić poczęły o liście, cicho zrazu i niewyraźnie, potem głośniej i głośniej, aż wreszcie dalekie, rozwiewne echo pieśni, w kielichach kwiatów zrodzonej, jakiś ostatni, na powietrzu zbłąkany krąg dźwięku, do

stóp twoich przyleciał, o kamień ostry u stóp się twoich rozprysnął i skonał...

Schyliła się wtedy nad ziemią, dziwożona siedząca przy tobie i szukać go w trawie poczęła...

Nie przeczuła, że było to dalekie, mrące echo mojej pieśni, — nie zgadła!

Dziwożona o wielkich, ciemnych oczach,

Dziwożona o pięknej, złowrogiej twarzy,

Dziwożona, co ci duszę, tę twoją słoneczną i błękitną, głębią ócz swoich urzekła do czasu, co ci serce wyjęła z piersi i powiesiła je sobie u szyi, jak rażący blaskiem — klejnot...

O serce ty ludzkie, ty bezbronne serce!

*

W światłokręgu twojej duszy, myśl moja otworzyła ongiś poraz pierwszy, zdumione blaskiem oczy, aby żyć — a dziś oto, wyspiewało się już serce we mnie i do stóp twoich młodość swoją przywodzi, — aby zmarła.

Idą ze mną wspomnienia dawne, w niebieską grotę duszy twojej przychodzą, bo wszystkie odblaskiem twej postaci są jasne, bo wszystkie, twoją pięknością jedynie, są piękne!

*

Widzieć cię! W oczy twoje popatrzeć raz jeszcze, w migotanie ich gwiaździste się zapatrzeć, głos twój usłyszeć znowu, dobry, kochany twój głos, który przypomnieć usiłuję sobie daremnie!

I jesteś! — I pochylasz znów nademną, jasną twoją najmilszą twarz, mistyczną twarz mojego szczęścia — i jesteś piękny jak raj utracony, jak miraż obiecanej ziemi, jak śmierć wczesna, lekka — i nagła...

O Śmierci, od Życia piękniejsza!

I otwiera się oto przedemną, niby otchłań lotnego szafiru, jak niebo jasna, jak źródło czysta bezdenna głębia niebieskiej twojej duszy...

I zdaje mi się, że to Szczęście nachyla ku mnie słodką swoją, jasną twarz i mówi:

— Napatrz mi się, bo gasnę...

I jesteś jak Młodość, co mówi:

— Przemijam...

I jesteś jak Życie, co mówi:

— Przechodzę!...

I jest w twoich oczach, cała baśń tęczowa, moich snów najcichszych...

O Życie, od Śmierci smutniejsze!

*

W ręce twoje, w twoje cudotwórcze, litościwe dłonie, oddaję oto, ducha mego... W twoje białe, zmęczone ręce: —

Amforę łez wylanych daremnie,
Całe różańce niewysłuchanych pacierzy,
Wszystkie tęsknoty majowych nocy,
Wszystkie godziny jasnością twoją złote,
Słoneczne lata młodości mojej, okwitłe
bez ciebie!...

*

I widzę cię, widzę cię tuż przed sobą, po latach, — znowu...

Widzę oczy twoje złotawe, migotliwe, jak gwiazdy w mroźną zimową noc i czuję znowu chłodną pieszczotę twego wzroku...

I stoisz przedemną:

Iskrzący kwiat paproci,
Święty Graal mego serca.
Ognisty krzak natchnień moich,
Obiecana ziemia mojej duszy...
Śmierci wczesna, lekka i nagła!

*

O duchu, coś mi rzucił w głąb łona olbrzymią nostalgię słońca, coś mi pokazał dalekie, planetarne przestrzenie twórczej myśli, przyjdź ty mi teraz z pomocą! Weźmij duszę moją i prowadź, na te szlaki jasne, kędy gwaru niema ni ciżby, gdzie duchy wolne, po szeleście skrzydlatych myśli swoich poznają się jedynie...

Gdzie hasło brzmi: — Blask!
Gdzie odzew brzmi: — Duch!
Tam ty mnie prowadź!

*

Usty modlitwą tą spalonemi, pożegnanie ci dziś rzucam przedśmiertne, niewysłuchaną tą prośbą spalonemi usty, pożegnanie dziś ślę ci, —
ostatnie!

* * *

Nie kochałeś mnie nigdy, zapomnieć, nie potrafisz jednak.

Imię moje, nic nie znaczyło w twem życiu a przecie ty go od siebie oderwać nie zdołasz...

I świecić ono będzie przy twojem, jak ta gwiazda sinosrebrna, nikła a wierna, po niebie za księżycem płynąca i przetrwam wszystko, co się z tobą łączy, co mi cię przesłania, odczekam aż sam będziesz, — wtedy przyjdę — i zostanę.

Przedtem jednak, wiele jeszcze świateł pogaśnie, wiele kwiatów zwiędnie — i życie minąć musi. Dziś umiera tylko młodość moja i lata moje kończą się wiosenne, których ostatnia, złota, krótka godzina, do stóp twoich, w blasku twoich oczu — umrzeć przyszła.

Dziś żegnam w tobie młodość moją słoneczną i patrzę, jak w dźwięczne fale u twoich stóp zapada bezpowrotna, jak Śmierć — i Miłość jedyna, chłodną pieszczotą oczu twoich żegnana, twoich smutnych niezapomnianych oczu...

O duszo ty jasna, nieśmiertelna duszo!

IMPROMPTU

Sypie się mrok, makowe ziarno sypie się zmierzchem na ziemię...
Sypie się ziarno z makówek a na rosę sny lecą, — sny lecą....
Widzisz je?...
Jaskrawe, jak ból i rzeczywistość,
Głuche, jak rozpacz
I jak prawda okrutne...
Parne, jak letni wieczór przed burzą,
Blade, jak mgły nad ugorami wiszące
I jak deszcz na górach posępne....
Te, które się kładą ciężkim smutkiem na piersi i trwają...
A potem te piękne i nietrwałe, jak szrony na słońcu niknące, te najpiękniejsze a niepochwycone, których życie nie spełnia — a człowiek zapomnieć nie może...
Te, z których bije zapach rajskiego ogrodu i łuna wiecznej światłości, w których jest pokój wiekuisty i wielkie ziemskie kochanie.

Te, które się wyśnić — nie mogą...

Sypie się mrok, makowe ziarno sypie się zmierzchem na ziemię...

Sypie się ziarno z makówek a na rosę sny lecą, — sny lecą...

*

Jakiś sad, w przepychu kwiecia stojący, jasna zieleń majowych traw, żółte i białe motyle liściom zdmuchniętych kwiatów podobne, jarzące rosy na trawach i szafir nieba nad sadem. Wiosenny, słoneczny ranek — w powietrzu woń...

Tak, tak, teraz ty przyjdziesz, — ja wiem...

*

Zbliżasz się ku mnie śnie mój, wołany tęsknotą bezmierną, przed tysiącami tysięcy lat, z parnych, wilgotnych dżungli rajskiego ogrodu wylęgłą!...

Zasłuchaj się jeno w pieśń moją...

Wytęż serce i poznaj, że dla ciebie oto, roztopionem złotem dźwięku, na powietrzu się rozlewa w przeczyste formy krzepnąc...

Przejdziesz, przeminiesz, jak cień, jeno słowo moje żywe — zostanie po tobie!

Z oddali, z przeszłości, pod śnieżną biel rozkwitłego sadu, w smudze blasku idziesz ku mnie...

Czuję zapach fiołków i wiem, żeś już blizko!

O śnie, słoneczny śnie mego życia...

*

Przez mgłę łez patrzę na ciebie, na twarz twoją młodą i wdzięczną.

Z za łez może, wydaje mi się tak piękna jak zawsze...

Z za łez może, wydaje mi się tak smutna — jak nigdy...

I nie mówię ci: „Odejdź“, bo wiem, że za tobą odeszłaby dusza moja.

I nie mówię ci: „Opuść mnie“... bo wiem, że za cieniem twoim iść będę przez wieczność...

Ty nie wiesz, że taki cień marny przesłonić może — słońce!

Wypełnić serce, jak płyn wypełnia czarę,
Położyć się smugą na wszystkie łąki życia
I wszystkie gwiazdy pogasić!...

Bo niewiesz, że taki cień marny, to wielka łaska boża, wielka moc — i władza.

Niewiesz, że bez ciebie, popiół by jeno pozostał ze mnie i proch.

Niewiesz, że bezemnie, cieniem byś tylko pozostał marnym i snem!

*

I patrzę oto na ten cień twój, na trawach leżący przedemną, oczu — na twarz twoją jasną po raz wtóry podnieść — nieśmiejąc...

— „Posłuchaj“ mówisz nagle — „Posłuchaj“ powtarza głos, którego dźwięk, jak klejnot w ręce chwytam i do piersi garnę...

— „Przychodzę oto do ciebie, po czystą rosę twoich słów, — po pieśni twoich mannę niebieską, albowiem wypalił się we mnie blask ducha — i wszystkie światła pogasly...

— Dusza moja mieszkanie swoje rzuciła i jestem, jak koncha pusta, w której jeno szum fal wielkich pozostał, co szemrze jeszcze:

Thalatta — Thalatta!

Choć słów tych już pojąć — niezdolna...

A ty wiesz, że nie była z tych, co jak meteory gasną.

Wiesz, że w niej skarby zaklęte i hufce skrzydlatych myśli się kryły,

Że miała w sobie błękit i głębię tatrzańskich stawów i wielką ciszę turni...

Ty wiesz, że nie była błędnym ogniem na trzęsawiskach życia,

Że wielka, smutna, pierworodna, paliła się w niej — miłość!

Wezwij duszę moją! Ty możesz! — Na twój głos powróci...“

*

Podnoszę wzrok, — pod przejrzystą bielą rozkwitłego sadu, niema nikogo... Sen pierzchnął...

O śnie, słoneczny śnie mego życia!

*
* *

I poszła myśl i poszła tęsknota bezmierna, przez rajskie sady snów, przez ciżbę sennych mar, poszła duszy twojej szukać, po stepach i lewadach jej wołać... W nawy mrocznych kościołów z szeptem litanii, z oparem kadzideł się niosła — i leciał głos, szła myśl niestrudzona, muszle na dnie fal śpiące otwierać,

Na śpiewne piersi skrzypiec się kłaść,

Roztruchany lotosów białych odmykać westchnieniem.

I orłom patrzeć do gniazd...

Daremnie.

Nie było duszy twojej pośród sennych pereł oceanu,

Ani w piersiach skrzypcowych,

Ani w pucharach lotosowych kwiatów,

Ani w orłowych gniazdach...

I zdało mi się to szukanie, trudem daremnym już i straconym...

Wtedy zaszła mi drogę Melancholia...

Na młodej jej twarzy, leżał srebrny odblask miesięcznej poświaty. Szła wolno, przez krajobraz szary, skalisty, głębokiemi cieniami kamiennych załomów znaczony, z granatową przepaścią nieba nad głową, w ciemnej swojej, długiej szacie z czarnemi malwami na śnieżnobiałych włosach. Szła wysoka, dostojna i jak każdy wielki smutek, piękna.

Stanęła i patrząc mi w oczy długą, martwą chwilę. — „Kogo szukasz?“ zapytała nagle.

— Duszy ludzkiej, jednej duszy, która mieszkanie swoje rzuciwszy — odeszła... Wołam jej i szukam — daremno... Żal mi jej, jako perły

bezcennej, rzuconej w morze z powrotem... Może wiesz gdzie przebywa, jak jej wołać należy? Odpowiedz!

Potrząsnęła srebrnemi strumieniami włosów.

— Nie szukaj — odparła twardo. — Takich dusz nie woła się z powrotem, albowiem wrócić nie mogą — nigdy.

*

A wtedy zadzwonił we mnie pęknięty spiż zranionego śmiertelnie serca i w jęk ogromny uderzył, — w jakieś podzwonne, nad pustyniami się niosące.

Podzwonne duszy twojej, — twojej słonecznej, możnej duszy,

Podzwonne wielkim, jak ptaki szerokoskrzydłe, lotnym porywom twoich myśli...

Podzwonne pragnieniom twoim, jak sosnowe, wysokopienne lasy szumiącym mi ongiś nad głową...

Podzwonne, podzwonne, podzwonne!...

A niewiasta o młodej twarzy i białośnieżnych włosach, obejrzała się raz jeszcze, poważna milcząca, w ciemną swoją szatę spowita i poszła dalej, skalistą, miesięcznem światłem oblaną drogą.

Wysoka, dostojna i jak każdy wielki smutek, — piękna.

*

Sypie się ziarno z makówek, a na rosę sny
lecą — sny lecą...
Jaskrawe, jak ból i rzeczywistość,
Głuche jak rozpacz
I jak prawda okrutne...

SUITE

Zostań! zostań...

Patrz, przecie wiosna wstaje i lodem zaszłe oczy jezior przeciera, na słońce je obraca — i wstaje!...

Przecie dziś, jutro — zakwitną śnieżyce, jaskółki wrócą i trwożnym swym świegotem pytać mnie będą o ciebie!

I cóż ja powiem tym żałobnym, wracającym ptakom?

Nie, — nie, — ty nie odejdziesz bezemnie!

To tak, jakby się człowiek cienia swego wyrzekał i mówił mu: — „Ty w swoją, ja w moją drogę pójdę, żegnaj i zapomnij o mnie!“

Jakże to?! — Widzisz, to już tak niedługo...

Przyjdą ranki słoneczne, wyiskrzone rosami, przesiąkłe wonią fiołków i traw, śniegiem kwiatu okryje się tarnina — a wreszcie — sady zakwitną...

Sady zakwitną! Słyszysz?

Przyjdą wieczory, duszne zapachem czeremszyn, w mrokach liliowych tonące, przyjdą sny, siądą koło nas, na fiołkami tkanej murawie i śniegiem liści osypią nas wiśnie i grusze kwitnące...

Odchodzisz?... Odchodzisz jednak?...

Idę więc z tobą razem...

Nie będę czekać aż mi się las świeży rozwinie, nie popatrzę w złote oczy jaskrów, wonią bzów nie odetchnę więcej, ani czeremszyn cierpkim krzepiącym zapachem...

Idziemy razem!

*

Ciemno jeszcze i martwota na świecie.

Chwila najsmutniejsza i najcięższa przyszła...

Odchodzę z duchem twoim, nie żegnając się z nikim...

Wszystko w ciężkim śnie stężałe, leży u moich stóp. Nie mam się z kim żegnać. Wiem zresztą, że nie wrócę — lepiej więc odejść cicho, bez szelestu rozpostartych skrzydeł.

Ziemia zbudzona nie pozna nawet, że jej

ubył cień człowieczej duszy, że ktoś z ludzi minął — i odszedł...

Lećmy!

*

Nie wołasz mnie za sobą i nie wiesz, że w kirach mroźnej, bezgwiezdnej nocy, dążę twym śladem, że cienie rąk moich dotykają twej szaty, że nie jesteś pyłem samotnym, zgubionym w przestrzeni, że razem lecimy na obłędne, obcy sobie, zawsze dalecy, a jednak — tak blizcy!

*

Co tu kwiatów po drodze!... Białe przeźroczyste, jak dyamenty i jak one, tysiącem tęcz się mieniące, Co to za kwiaty? Chcę ich nałamać i zabrać z sobą, ale pod mojem dotknięciem w igły się srebrne rozprysły... Dziwne kwiaty... A jakie zimne, jak z lodu... Szkoda, że z nich wieńca uwić nie można. Byłby piękny jak żaden z tych, — na ziemi!...

*

Zimno i ciemno... Poznaję cię tylko po kwiatowej jakiejś woni, co płynie za tobą. Ująć cię ręką nie śmiem, nie mam prawa — duchu!

Wicher gwałtownem tchnieniem przeleciał w przestrzeni i nagle, szmat granatowego nieba ukazał się z za chmur. Przy blasku kilku świecących na niem gwiazd, widzę, jak zwijasz rozpostarte skrzydła i padasz w znużeniu, na puch lecącej chmury.

Cicho, jak nietoperz ustaję w locie i chylę się również na ów obłok płynący... Patrzymy na siebie w milczeniu.

Kto ty jesteś? Zdają się mnie pytać twoje oczy, złotawe, przygasłe, zdziwione. Ale ja milczę pod chłodnem wejrzeniem źrenic twego ducha i czuję dreszcz, jakby owe mroźne, lodowe, widziane przed chwilą kwiaty, dotknęły nagle mego serca.

— „Kto ty jesteś?“ — Pyta wreszcie głos twój, zmieniony, smutny, w którym drga znużenie.

— Jestem cieniem twoim, co idzie za tobą...

*

Jak dziwnie brzmią głosy nasze, w tej przestrzeni bezkresnej! Wydają się szeptem słabym i niewyraźnym, a jednak poznaję twój głos, znajomy głos, za którym pójdę wszędzie, choćby najwyżej!...

Gwiazdy świecą duże, białosrebrne, jakby tuż nad nami zapalone i w blasku tym śnieży się przedemną twarz twoja, trochę tylko przejrzystsza od żyjącej ongiś, bardziej tylko znużona i smutna... Czemu?... Wszakże ten lot nasz, to swoboda, to wyzwolenie! Kształt ziemski umarł a dusze lecą oto na wyraj bezpowrotny, jak ptaki wolne, ku Słońcu, — ku Prawdzie!...

Więc na co ty czekasz, biały, zmęczony duchu? Czemu skrzydła twoje, jak zwiędłe leżą na puchu płynącej chmury? Lećmy! — Oto cień twój zrywa się do lotu a ty — czekasz?!

I podnoszą się ku mnie źrenice zlotawe, przygasłe, oczy twoje podnoszą się ku mnie a głos ów znajomy i drogi zawsze, mówi z wysiłkiem:

— „Mocy mi brak, aby w górę lecieć — a w dół, z powrotem, nie wolno!...“

I duch twój pada śnieżną twarzą na obłok płynący i trwa tak w ciszy, smutniejszej — od płaczu.

*

I nagle, pierwszy raz, stanęła przedemną myśl gorżka i paląca.... Możeś ty jednak nie z tych — Najwyższych, skoro w połowie drogi zwiędły ci skrzydła i padasz? Możeś ty jednym z tych

kwiatów lodowych, co blaski siały znikome, choć świetne a pod dotknięciem, w igły się srebrne rozprysły?...

Zostań więc!

Odłączam się od drogi twojej, aby samotnym cieniem dążyć odtąd ku głębiom niebieskich sklepień...

Może kiedyś, — dolecę tam, gdzie tobie nie było danem, a wtedy rzucę ci jaką gwiazdę na znak, że jestem u celu, niech ci spadnie na załamane w niemocy dłonie, jak płomienny, gorący kwiat — i wskrzesi ci duszę i ludzkim, znajomym głosem, którego nie poznasz, — powie ci:

— Wstań!

REQUIEM AETERNAM.

Nie idź za mną! — Tu bodaj, na tym progu opuść mnie!...

Na wrzosem wysłaną polanę, w las żywicą wonny, w szare godziny letnich zmierzchów, przychodzić możesz wspomnieniem. Tu jednak duszę moją opuść, — niech idzie sama, niech się oderwie od ciebie, niech zapomni! Nie idź za mną...

* * *

W chłodnych kolorach tęcz, lecących przez gotyckie okna, staję — i słucham ciszy.

Pył minionych wieków sypie się na mnie ze sklepień i cisza, wielka kościelna cisza, ogarnia mi duszę. Na sarkofagach spią twardo, w zbroje zakuci kamienni męże. Pokój im wieczny!

*

Pokój wieczny... Jakież to mocne słowa. Ile w nich nieskończoności — i ciszy.

Pokój wieczny... Te słowa zamiast modlitwy powracają mimowoli na moje usta i są mi pacierzem.

*

Daj Panie pokój wieczny tym myślom moim, co jak ptaki chore, na wyraj polecieć nie mogą — a w górę się rwą, do gwiazd.

Pokój wieczny sercu memu i duszy mojej, wieczny pokój i cisza!

*

Jakże tu pięknie i dobrze! Nie wiem, czy mi to Piękno właśnie, nie koi duszy samo i wyłącznie. Ale nie. Tum koloński jest poematem linii — a jednak, o ile tu lepiej, — inaczej...

Tu jest jakaś wielkość, którą czuję, wielkość Wiary w rzeczy czekane a słoneczne, — Wiary, która z dymem kadzideł leci pod strop gwiaździsty, wsiąka w strzępy starych sztandarów, u pajęczyn kamiennego chóru się wiesza — a przytem, tu jest Przeszłość — i Smutek...

*

Cisza. — Słychać tylko lekki łopot płomienia, w zawieszonej przed ołtarzem lampie i zapach

jakiś dziwny, wilgotnym chłodem wieje przez kościół, — Zapach powiędłych kwiatów, spalonego przed ołtarzem bursztynu — i łez daremnie wylanych...

*

Drgający płatek tęczy, jak liść rajskiego kwiatu pada mi przed stopy. Szkoda, że pierzchnąć musi! Jutro o tej porze, padnie tu znowu, na te same arabeski mozajkowych kobierców, — jutro i codzień. Żal mi go, jak niektórych godzin mego życia, co blaskiem nagłym padały mi w duszę, aby zajaśnieć jak tęczą, — zgasnąć — i niewrócić więcej!

O tęcze moje, o godziny jasne!...

*

Ze złoconego tła obrazu, purpurową łuną wiecznej lampy oblana, patrzy na mnie ciemna, w srebrne blachy zamknięta twarz.

Łzy koralowe i złote serca, wiszą na blasze a czerwone światło lampy, plami wota i schnące bukiety nieśmiertelników, niby krwią świeżą, niezastygłą jeszcze.

A gdyby tak i mnie, takie serce złote, powiesić na srebrze obrazu, takie zakrwawione blaskiem serce, złożyć między te, wiszące już?!

Czyżby istotnie okupić można żywe, takiem złotem?

Ucieczko grzesznych...
Módl się za nami!

Uzdrowienie chorych...

*

Przez bukiety nieśmiertelników, prześwieca obraz cudowny, ciemna twarz patrzy wprost ku mnie, a wielkie, smutne oczy: pytają wyraźnie,

Co tobie?!

Królowo Aniołów —
Módl się za nami!

*

Kościół zastyga i krzepnie w mroku.

Tęcze oderwały się od ziemi i zgasły, tylko okna barwne świecą, jak na niebie wyszyty, w kamień oprawny haft.

Coraz to mroczniej...

Podnoszę oczy mgłą łez zachodzące i z za łez, widzę cienie postaci, ręką mistrza na tynki

rzucone, anielskie widma, w gloryach złocistych świecące i jedno z tych widm, o bladym znajomym uśmiechu, pochyla się nagle ku mnie i skrzydły jaskółczemi szeleścić poczyna...

A! — tu bodaj nie mąć mi ciszy! — Tu bodaj nie przychodź, gdzie o pokój wieczny dla serca mego proszę, gdzie z piersi smutkiem wezbranej, na głos pomocy wołam...

Królowo Aniołów —

Módl się za nami!

FINALE.

Więc jeszcze nie koniec, — nie koniec?!

Blade mary kładzione na sen do sarkofagów wstają i długim korowodem ciągną się przedemną...

Znowu!

Tyle razy, w męce i bolu, prosił ci się mój duch o pokój, groźna przemożna maro, a oto znowu zachodzisz mi drogę... Postać twoja, zamierzchła mi już przed oczyma, jak tuman mglisty, na smugu łąk o zmroku się kładący, który ciemność nocy chłonie powoli...

Pocóż się wracasz?

Teraz, kiedy w moc sercem rosnę, ku innym się światom zawracam i dążę...

Teraz, kiedy ramiona moje wielkim wiecznym miłościom się rozwarły i dech nieskończoności twarz moją owiewać poczyna; kiedy duch mój na życie nowe się zbroi, na pełne, ogromne, skrzydlate życie?

Po za mną, w kurhanach polnych, zostały łzawnice siwe, w których serce smutki swe młode

niby miód mocny syciło, upojne miody krótkich, złotych lat życia...

Zostały po za mną, w popielnikach, prochy ofiar przed słońcem dziecinnych wierzeń spalone, zostały żalniki pamięci, na uroczyskach rozłogów leśnych drzemiące...

Sen wam, sen wam, — sen!...

Cichy był wasz pogrzeb, bez wonnego stosu i płomiennych sztandarów ognia, nocą na wichrze się drących, bez obrzędowych pieśni i płaczu...

Czar życia odszedł tylko i pod ruń zieloną się zapadł — i to czekanie rzeczy wielkich i boleśnie pięknych, które jest skrzydłami młodych lat i złotą żagwią w ciemnościach zapaloną przed nami, — odeszło.

*

I dźwigają się we mnie moce zatajone dawniej, cały jakiś huf rycerzy, w piersi mojej śpiących, chrzęścić zbrojami poczyna i budząc się o tarcze spiżowe uderzać...

Na światło! Na walkę przedwieczną! Na bój!

O drużyno promienna, o moi śpiący rycerze!..

*

Czy wiesz ty, z kim idziesz się zmagać majaku?...

Znikomy, blady, wonnym oparem wspomnień dawnych, znów nad sercem mojem ciążyć poczynasz...

Idzie od ciebie, czar nieprzeparty ongiś, czar pustynnej Fata Morgany, co zielenią palm świeżych, na suchych piaskach ziemi zakwita... Czar sennego majaka z baśni, do którego obłąkane myśli moje szły wpław, przez sypkie morze spalonych wydm, przez gorącą falę życia.

Bije od ciebie, woń śmiertelnych zapamiętań, woń cudowna białych trujących kwiatów, w której serce moje zagorzało ongiś, jak lampa w bursztynnych kadzidłach chramu...

Idziesz ku mnie i znowu, popatrzeć ma na mnie z twoich oczu, najpiękniejszy sen moich nocy...

Nie lękam się jednak. Pokonam twój czar, przemogę wzrok!

Jak głęboka, cicha toń wody, pod niebem letniej nocy leżąca, tak dusza moja firmamentem gwiazd bożych, w głębi swej odbitych, migoce...

Nie tobie światła te wieczne przesłaniać,

Nie tobie je gasić...

Nigdy już, groźna, przemożna maro, nigdy już nie pójdę za tobą!

Nigdy! — spojrz w przepaść tego słowa i w przepaści jego się pogrąż!

Nie padnę już nigdy w prochu u twoich stóp i już mi słońca sobą nie zaćmisz!

Idź — i otwórz kurhany sypane po błędnych drogach, któremi cień twój mnie wodził i w snów, opary spowijał!

Spojrzyj w siwe łzawnice i wnętrza popielników, a odejdziesz w pokoju, ujrzawszy, jako dosyć krwawego haraczu życie moje ci niosło!

Koniec, — już koniec!

Po raz ostatni mówię ci: — Odejdź!

Po raz ostatni powiadam ci: — Opuść mnie!

Maro okrutna! — Nienasycona maro!

Z GÓRNYCH ŚCIEŻEK.

...Patrzę ci prosto w oczy, w złote,
nieprzeliczone oczy twoich gwiazd,
— bez lęku...

PAUZA.

Niby dzwon szklany spuszcza się nad nami i zamyka nas przejrzystym kielichem — cisza.

Jednem słowem zbić mogę to szkło niewidzialne, jednym dźwiękiem. Niemam go jednak w piersi.

Te słowa marne, te brzmiące, uszły mi gdzieś, uciekły, a bez nich rozbić tej czary szklannej nie mogę!

Nie przemówię, nie zdołam.

Za długo trwało to milczenie we troje.

Za długo milczeliśmy — ty, — ja — i Ona...

Bo tu jest Śmierć, — ja wiem...

*

Wilgotny zapach zlanego deszczem mchu i zwiędłych świerkowych igieł, bije od ziemi. Pod ruchomą powałą gałęzi, na pniu ściętej sosny, siedzimy jak dwoje rozbitków, na odłamie masztu, ku nieznanym zaniesionych lądom. Jakieś zioła rzadkie kwitnąć muszą właśnie, bo w żywiczne

zapachleśne , mięsza się oddech, jakiejś poprostu rajskiej, niewymownie słodkiej woni, której nie znam.

Przez jasną wyrwę pośród świerków, widać dalekie lesiste góry, dymiące się mgłami po deszczu i jasny seledyn nieba nad niemi.

*

Patrzę na te ręce wątłe, o delikatnych, cienkich palcach. Zwisają bezsilne i bezwolne zupełnie.

Mają wdzięk więdnących kwiatów...

Przemówić, — ta cisza zadławi mnie, zadusi!

Niemogę...

Nagle, — czuję na twarzy chłód twojego wzroku.

Te oczy mówią mi coś, ale tak cicho, tak ciemno, że — nierozumiem. Wiem tylko, że niema w nich skargi, ani pokory, jest jeno hardość bolu zaciętego w sobie i wielkie wytężenie w głąb. Patrzę w te oczy i piję duszą ich wzrok, jak ciemny, gorżki napój.

*

Czy ptak wie, że umiera!?
Czy świeca wie, że gaśnie...

*

Śmierć patrzy na mnie z tych młodych, bezdennie bolesnych oczu, wczesna, okrutna — Śmierć.

Nie potrafię przemówić...

Ty nie czekasz zresztą na nic. W milczeniu i jakby pod niezmiernym jakimś ciężarem, gniesz się w siebie, nie wiedząc, że widzę oto niemal tę duszę twoją znużoną, bezwładną w tej chwili jak te ręce i jak rysunek tych rąk szlachetną, proszącą się Bogu — na światło.

Niezrozumiem nigdy, co mi te oczy mówią, te harde, przepaściste, cierpiące oczy, a jednak usiłuję zrozumieć i patrzę w nie uparcie, jak w bezdeń, co ciągnie ku sobie — tajnią.

*

Czemu nikt nie nadchodzi?!

Ta cisza przeciąga się jak struna i potrącona może wydać ton, — gotowa jęknąć słowem jakiemś, zadławionem w naszych piersiach, słowem, którego nie znam, a poznać nie mam dość siły...

A przecie my jesteśmy tylko, jak te duchy, z jednej jakiejś gwiazdy, na obcej ziemi zbłąkane, które po śpiewnem narzeczu ojczyzny swojej, poznały się jedynie... Nic więcej...

A jednak, zawisa mi przed oczyma myśli, ta głowa harda, o wielkich, bezdennych, zuchwale cierpiących oczach, z których patrzy — Śmierć.

A jednak, zawisa mi przed wzrokiem pamięci, ta twarz młoda, tajemniczem piętnem zagłady znaczona, — tragiczna, bolesna...

Widzę ją tuż przy sobie, a jest już, jakby o tysiące lat, o tysiące mil, oddalona odemnie...

Widzę dokładnie ostry profil chylącej się w dół twarzy, żywej jeszcze i czującej, a zdaje mi się, że to już tylko myśl ludzka, w przestrzeni zbłąkana, wielka potężna myśl, której nikt nie poznał dotąd i nie pozna — nigdy, której nie ogarnie nigdy nikt, — ani wchłonąć w ciasną pierś swoją nie zdoła...

A przecie my jesteśmy tylko jak te duchy...

Tak trudno myśleć o tem... Może dlatego, że „tego“ nie ma właściwie, a jest jednak, że to jest coś lżejszego od pajęczyny, coś, co znika gdy się w to wpatrzeć uparcie i znów lata przed oczyma, jak czerwona plama blasku, chwyconego w oko — przelotem. To są cudowne rzeczy. Przychodzą niewołane, niespodziane, coś, jak rysunek bez konturu, jak muzyka bez dźwięku, rzeczy, w których przejrzystą głębię wnika się całą istotą, choć

popatrzeć nie ma na co, — choć ująć nie ma co...

Może tylko natury tak polarne jak moja, tak wystygłe jeszcze w przedbycie, zdolne są odczuwać podobnie powietrzne, kryształowo chłodne, nieujęte rzeczy. Czy ja wiem? Może dla tego, że krew moja ścięta jest w lód i milczy zawsze, widzieć mogę płonącą wysoko nad życiem mojem, północną zorzę — ducha?...

Patrzę na te młode, wątłe ręce, a zdaje mi się, że mam oto przed oczyma rzecz martwą, bezdennie smutną — i już minioną...

Coś oddala cię odemnie i przesłania, jakby oparem lotnym i chłodnym, coś zaciera mi jakby mgłą oddalenia, istniejący jeszcze, żywy kształt, coś, — co mi cię kochać zabrania... Chłonący materyę duch...

To jest Śmierć, ja wiem.

*

Wiedzieć coś tak dokładnie i nie móc — nic!..

Bo i cóż ja mogę?

Jest straszne okrucieństwo w świadomości, jaką ma człowiek w takich chwilach.

*

Gdyby to można, wziąć taką duszę w ręce, jak ptaka, taką zszarpaną łopotem własnych skrzydeł duszę; gdyby ją można wynieść na jakieś ogromne, dobroczynne słońce, dać jej pokój i siłę — i słodycz i wrócić ją Bogu czystą, bezcenną w blasku, ufną, jak dziecko, jak kwiat...

Gdyby można?... Ale nie, z Nią niema walki. Stanęła między nami groźna, milcząca, nieubłagana... I dla tego ta cisza, kładącą mi się odwalonem wiekiem pustego sarkofagu na pierś...

I dla tego te słowa marne uszły...

*

I znowu ten wzrok na mojej twarzy, zuchwały, bolesny, jak każda głębia ciemny, wzrok oczu z których patrzy — Śmierć.

*

Szkoda mi cię, jak meteoru potężnej myśli, co ognistą rysą przelata po niebie czasów swoich — i gaśnie.

Szkoda mi cię, jak powierzchni wody głębokiej a czystej, którą pleśń zwolna powleka, —

a w której ongiś, — własna moja dusza, zwierciedliła się młoda i nieśmiertelna.

Szkoda mi cię, jak żałują jedne drugich, rozpierzchłe w przestrzeni tony, razem kiedyś, pieśń wielką tworzące.

Szkoda mi cię, jak ptaka odlatującego jesienią ku morzom, który nad swojskie łąki swoje, niema wrócić — nigdy!

*

Gdzie pójdzie ta dusza twoja — potem?
Gdzie pójdzie płomień zgaszonej świecy?...

Niewiem... A jednak wierzę w kręgi światłości wiekuistej i w słońce przedwiecznej Prawdy! Wierzę w przeczyste cienie najmilszych postaci i sprawiedliwą, tajemną Moc nad niemi.

Wierzę, w obiecaną ziemię ducha i wieczny odpoczynek po męce! W słoneczne zaświecie bezkresnego szczęścia i w róże, co nigdy nie zwiędną.

Wierzę, w nieśmiertelne trwanie myśli gorących a wielkich, co na lodowiskach ziemi pogasły i w to Królestwo jasne, co nie jest z tego świata...

Wierzę!

A ty?!

*

Cisza pryska, tłucze się, jak szkło cienkie i dźwięczącemi okruchami, rozsypuje się dokoła.

Suchy przeraźliwy kaszel....

Wszystkie struny zdają się rwać w tych piersiach i jak struny rozbitej harfy pękając, — odpowiadać mi krzykiem skargi i buntu: —

Krzywda! — Krzywda! — Krzywda...

Straszliwy, bolesny, suchotniczy kaszel.

To jest Śmierć, — ja wiem.

NA FALI.

Są grzechy ciężkie, jak całe łańcuchy gór,— winą w głaz skamieniałych,
Są niewidzialne, a zabójcze, jak ostrza strzał jadem śmiertelnym zatrutych,
Całe korowody, całe tumany, — są —
Ale to, grzechem nie jest...

*

Patrzę ci prosto w oczy, w złote, nieprzeliczone oczy twoich gwiazd bez lęku.

Patrzę w twoją Nieskończoność, na to przepychem migocące wieko świata i nie drżę, choć wiem, że się to wieko podniesie kiedyś i jak z trumny pył, tak ów proch złoty, tchem twoim zdmuchnięty — opadnie...

Wtedy o duszo moja, powiędłe astry gwiazd, oddechem Wieczności strąconych, zbierać pójdziemy po łąkach!...

Nikomu niedamy ich tknąć, — nikomu...

Zwiędłe, chłodne, wołać będziemy do życia, aż światłem przedwiecznem zaświecą, aż się w blask żywy rozjarzą na nowo, świetne, błyszczące...

A wtedy, — choćby oślepnąć przyszło o duszo! Nieść pomoc gwiazdom mrącym, ciche uczynki miłosierdzia, gasnącym ogniom bożym —
nie grzech!...

Więc patrzę ci prosto w oczy, w złote, nieprzeliczone twoje oczy i nie drżę;

Jest we mnie bowiem, pokój wielki, bezkresnych, wiecznych przestrzeni,

Jest we mnie cisza i chłód, jesiennych, gwiaździstych nocy,

Powietrzna czystość rzeczy nieśmiertelnych — a śmiertelnie smutnych — i ty jesteś we mnie,
o duszo moja!

* * *

Przypomnij, wytęż myśl!...

Widzisz te głazy ofiarne, na piasku nadmorskim leżące? Wystygłe, chłodem księżycowego blasku ścięte... Poznajesz tę falę, co bije zdyszaną piersią o brzeg?

Obrzęd święty się skończył. Odeszli wszyscy.

Noc jasna, zielona, mglista. Pod stopami chrzęszczą nam zioła, których te dziewczyny jasne natrzęsły... Pachną... Czujesz woń? —

Pamiętasz?

Musisz pamiętać!

*

Widzę twoją rękę, wątłą, młodą, wysmukłą rękę...

Widzę cień twoich palców sunący po runach ofiarnego głazu i słyszę twój głos...

Mocne, straszne runy...

Wypaliła mi je ta chwila na sercu i czuję je do dziś, głęboko, — do krwi zaryte — i niosę je w sobie przez życia wszystkie, przez Wieczność i czuję ból, choć serce moje, jak ów głaz ofiarny, w chłodach miesięcznej nocy — ostygło...

Mocne, ciemne runy twoich słów!

*

Przypomnij, przywołaj wszystko!

I tę noc i te nasze rozmowy długie, ponocne, o rzeczach wielkich i czutych tylko, w milczeniu ust, tętnami serc — wiedzione.

Wiesz przecie, że się nić taka, zerwać niemoże nigdy!
Wiesz przecie, że fala życia powraca i odnosi wszystko — i kwiaty rzucane — i słowa...
Widzisz, jak płynie ku nam szybka, zdyszana?!...
O falo ogromna, powrotna falo życia! —

* * *

Wróć się chwilo święta, zwietrzała,
Wróć się woni dawnych, prastarych czasów,
Wróć się cieniu znikomy, coś mi gasnąc, zapachem myśli wiecznych owiewał duszę!
Wróć się nocy miesięczna i chłodna,
Na głaz ofiarny mego serca, w uroczysko duszy mojej, zejdźcie ognie w przestrzeni stracone,
Zejdźcie dymy stare, tchem czasów nowych odwiane,
Zejdźcie lotne, błękitne, w bursztynnej woni mdlejące, bo oto wam piersi moje, na ścieżaj dziś otwieram!
Bywajcie!

*

I wraca wszystko...

Noc jasna, zielona, mglista —

Pod stopami chrzęszczą nam zioła, których te dziewczyny jasne natrzęsły... Pachną...

Z błękitnych bursztynnych dymów zapomnienia, wyłania się cień...

Podaj mi rękę!. Ta sama! Wątła młoda, chłodna ręka mego snu. Wysmukłe, białe palce, których cień, padał na runy ofiarnych kamieni — ongiś, — te same...

*

Bieliła się dusza moja w twoim blasku, jak te płótna mistyczne, w świetle miesięcznem, na runi łąk się bielą.

I szedł cień twój przez życie moje, cichy, zwiewny, bolesny, jako sen o czemś wiecznem, a obiecanem oddawna, jako sen, którego ręce śmiertelne zatrzymać nie mogły

I przeszedł...

*

Chrzęst tych ziół pod naszemi stopami, tych ziół święconych a wonnych i te twoje ręce smukłe, młode, na głazach ołtarzysk leżące, plusk fali

bijącej zdyszaną piersią o brzeg i noc jasna, zie-
lona, — mglista...
Piasczysty brzeg morza i zimne już, w świę-
tych ogniach okopcone głazy.
Przypomnij, przywołaj wszystko!
Musisz pamiętać...

*

To nie był sen, to była prawda odwieczna, to było
— życie.
Wszystko inne snem tylko i omanem .. Przypomnij!
Z przestrzeni wiecznych, szliśmy ku sobie — ongiś,
Z przestrzeni wiecznych idziemy — znowu,
O falo ogromna, powrotna falo życia!

*
* *

Są grzechy ciężkie, jak całe łańcuchy gór, —
winą w głaz skamieniałych,
Są niewidzialne, a zabójcze, jak ostrza strzał
jadem śmiertelnym zatrutych,
Całe korowody, całe tumany, — są,
Ale to grzechem nie jest...

OD PROGA

Albowiem oddać nam trzeba ziemi, co ziemskie, a zaś słońcu, co słoneczne, — a zaprawdę wszystko, co na ziemi do raju podobne, — urągowiskiem jest tylko i majakiem...

O Chanaan — Chanaan...

*

Wicher straszny, wśród gwiazd oszalały wicher... Całe morze mgieł pędzi przed sobą... Ogromny świetlany tuman. Rwie się brzegami na strzępy, rzednie, tężeje, płynie, płynie szerokim, rozlewnym zatopem. Sunie ku mnie... Dławiący, wilgotny opar zalewa mi pierś...

Oddechu!...

Słyszysz trzask łamanych piór?

To dusza moja pada na złom, ciśnięta o ziem, straszliwą potęgą wichury...

Ale nie ginie. Nieśmiertelna istność, niespożyta moc trwania, daną jej jest przed czasy.

Wie o tem i jęczy.

*

Mgły wichrem podarte opadły i powietrze jak kryształ czyste, zalewa znowu przestrzeń.

Turnie stoją prostopadłe, w srogiej martwocie zakrzepłe. Jest w nich tępe okrucieństwo rzeczy martwych i ludzka prawie obojętność.

Stromą, okruchami granitu pokrytą zboczą, dążę w górę. Bladozielone głazy chrobocą i dźwięczą mi pod stopami. Staję.

Jest cicho, — tak cicho, że słyszę wyraźnie miarowy, dźwięczny szelest kropli spadającej ze skały, na podłużny błam śniegu, leżący w cieniu, u jej stóp...

Dźwięczny, miarowy szelest kropli.

Nademną wysoko szczyt...

Poco, poco ja tam idę, skoro wiem, że wrócić muszę?!

Coś rwie mnie jednak, coś woła, jakaś zatajona, przemożna Moc...

Podemną głąb, nademną szczyt!... Już blizko.

Mój, mój własny, rodzony świat, świat zawrotnych wyżyn i zbłąkanych mgieł, świat wichrów oszalałych i łamanych piór!...

Mój świat!

*

I widzę oto nad sobą, tratwy obłoków płynące wysoko, przez cichą topiel błękitu, a na nich cienie jasne, ze światła i powietrza wytchnięte, z których każda, jest myślą słoneczną, — umarłą, zdeptaną na ziemi...

Bezużyteczne, — zgaszone...

Widzę tratwy obłoków, a na nich te widma świetlane, w Nieśmiertelność, — ku słońcu płynące.

Poznaję was, krwawe kwiaty mego ducha!

Poznaję was, wy rajem pachnące i Wiecznością, wy jak kąkol w zbożu, — przeklęte!...

Poznaję was, zgaszone a płonące, umarłe a jak dusza moja — bezśmiertne...

I oto wracam do was, wy nocą, w popłochu piór stracone! Wracam do was, srebrzyste, skrzydlate ptaki, własne moje, krwią serca ociekłe, bezużyteczne, przeklęte, — jedyne!

Wysoko płyniecie nademną, — wysoko, — ale ja was dosięgnę, ptaki moje, srebrzyste, wolne moje ptaki!...

W mój rodzony, mój własny świat!...

W męce, w wysiłku, w nadludzkiem natężeniu sił...

Szczyt!

*

Zsiniała w nizinach, leży mi u stóp ziemia.

Przedemną, w ścianie ciosowej wrota. Żelazne ciężkie odrzwia zawarte.

Za temi drzwiami ojczyzna moja, słoneczna ojczyzna mego ducha...

Dokoła przestwór i blask.

Za temi drzwiami...

*

Kocham cię, przedwieczna, — niezmożona ojcowizno moja!

Kocham cię, świecie duchów tworzących a umęczonych aż do śmierci, co jak okruchy kadzideł wonnych, w ogniu się własnym palą.

Świecie na tynkach kościołów przyśniony, stężały w szybach witraży, akordami sonat, oblę-

dem fug wygrany, łamany w tęczowe klejnoty strof, górne kryształy, z głębin serc wielkich dobyte...

Kocham cię, skrzydlata męczarni myśli, co jak motyle barwne, wiotkie niebaczne, wylatują z osłonek pod jesień, nieświadome, że w pierwszym swym locie poginą...

Kocham cię, ty świecie, co jak toń górskich stawów, turnie nadbrzeżne, — odbijasz w sobie wielkość czasów idących — i trwasz...

Mój własny, mój rodzony świecie!

Przed progiem wrót twoich upadam,

Przed progiem wrót twoich, bezsilne, załamuję ręce,

Od proga wrót twoich zapartych przedemną — odchodzę!

O Chanaan...

*

Przez to wieczne zawieszenie wzroku na onych wrotach zapartych i nieprzestąpionych;

Przez tę niemoc łamanych wichrem skrzydeł;

Przez tęsknotę nienasyconą, co zabija, a śmierci nie daje;

Przez te mary bezdomne i bezimienne, co chłodnemi oddechami ust swoich, straszyły mnie po nocach;

Przez zadławioną rozpacz buntów, którym wybuchnąć nie było wolno nigdy;

Przez ciche, błyskawiczne noce natchnień, co złotym migotem rozświetlały serce moje nieprzytomne i w niemocy struchlałe;

Przez te struny ręką twą, o Cieniu najmilszy, w duszy mojej, jak na ramach harfy napięte, a które milczenie wieczne, gwiazdą pajęczych nici osnuwa;

Przez mękę bezkresną istnienia;

Przez wysiłki daremne i krwawe i przez ten oto, żałośny powrót w niziny,

Odpuść ty mi, o Życie moje!....

*

Albowiem oddać nam trzeba ziemi, co ziemskie, a zaś Wieczności, co wieczne, — a zaprawdę, wszystko co na ziemi do raju podobne, urągowiskiem jest tylko i majakiem....

O Chanaan, Chanaan mojej duszy!

SPIS.

Z górnych ścieżek.

LWÓW.
Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO"
POD ZARZĄDEM Z. HAŁACIŃSKIEGO
1902.